

PIOTR NOWINA-KONOPKA  
Warszawa

## CELE POLSKIEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ\*

Moim zamiarem jest wypowiedzenie się o celach polskiej polityki zagranicznej w kategoriach nieco bardziej strategicznej – niż zazwyczaj to czynimy – perspektywy. Codzienna polityka składa się przecież z ciągu pojedynczych działań, ukierunkowanych raz na Wschód, raz na Zachód, raz na Południe, raz na Północ – i tak umyka nam z oczu wizja wielkiego projektu politycznego, któremu te drobne posunięcia mają służyć w długim wymiarze czasowym.

Minęło już ponad 5 lat od chwili rozpoczęcia pracy przez rząd Tadeusza Mazowieckiego, od wielkiej reorientacji, której skalę można porównać zapewne jedynie ze skalą, w jakiej dokonywała się w Polsce – wiele wieków temu – wielka reorientacja z polityki pierwszych Piastów na politykę jagiellońską. Stanęliśmy bowiem 5 lat temu przed unikalną szansą zmiany najgłębszych podstaw naszej polityki zagranicznej. Zmiana mogła dotyczyć dwóch sfer: sfery samodzielności lub też – po prostu – suwerenności naszej polityki oraz sfery strategicznego jej kierunku.

Samodzielność wrywaliśmy metodą faktów dokonanych. Stało się to możliwe wskutek sprzężenia w czasie procesów zachodzących u nas z procesami zachodzącymi zwłaszcza w Związku Radzieckim. Minister Skubiszewski stopniowo napinał łuk coraz mocniej, starając się harmonizować to napięcie z sytuacją w Moskwie i w stolicach całego dawnego Układu Warszawskiego. Można dzisiaj z satysfakcją powiedzieć, że łuk nie pękł, choć wystrzelone z niego strzały poszybowały dalej, niż marzyli optymiści jeszcze z końca lat osiemdziesiątych. Niektórzy radykalni krytycy twierdzą dzisiaj, że można było szybciej i mocniej – brak jakiegokolwiek dowodu na to, że proces naszego wyzwania się spod obcej dominacji mógł przebiegać łatwiej. Krytycy zdają się zapominać, kiedy został ostatecznie rozwiązany Pakt Warszawski, kiedy rozpadło się RWPG, nawet kiedy zdołaliśmy wreszcie wyprowadzić obce wojska z polskiego terytorium. Warto sobie przecież uświadomić, że na dobrą sprawę dopiero kilka miesięcy temu, w 55 lat po rozpoczęciu II wojny światowej – te same wojska opuściły Niemcy

\* Tekst wygłoszony w Instytucie Zachodnim w Poznaniu 11 I 1995 r.

i kraje bałtyckie. Nie udowodniono, że węgierska lub czechosłowacka polityka zagraniczna zdołała nas zdystansować wskutek tego, że im udało się pożegnać z Armią Czerwoną nieco wcześniej.

Trzeba się wszakże skoncentrować na strategicznych kierunkach i celach naszej polityki. Większość obserwatorów skupia się na dwóch jej płaszczyznach, stanowiących wyraźne dominanty wyborów, przed którymi stawały kolejne rządy, przed którymi stawał minister Skubiszewski – zwłaszcza w czasie pierwszego roku swego urzędowania. Te dwie płaszczyzny należy określić jako płaszczyznę generalnej reorientacji ze Wschodu na Zachód, oraz jako płaszczyznę stosunków bilateralnych z sąsiadami, ze szczególnym uwzględnieniem Niemiec i Rosji.

Prozachodni kierunek polskiej polityki zagranicznej miał swoje dwa źródła. Był po pierwsze i przede wszystkim powrotem do naturalnego położenia Polski w Europie, był wyciągnięciem konsekwencji z naszej całej historii kulturalnej, gospodarczej i politycznej. Był owym „powrotem” do Europy, z której nigdy nie wyszliśmy, ale od której zostaliśmy odgradzeni przemocą, w złej wierze i w służbie złej sprawy. Drugie źródło, to woła alternacji, zmiany położenia – zwłaszcza w sytuacji, w której rozpadające się imperium na naszych oczach zaczęło tracić siły – gdy tymczasem Zachód psychologicznie stanowił przedmiot pożądania społeczeństw (nie tylko przecież Polaków) spragnionych normalnego życia, cywilizowanych i demokratycznych stosunków politycznych, dobrobytu ekonomicznego wreszcie. Wspominam o tym drugim źródle nie dlatego, abym je uznawał za równie ważne jak woła „powrotu do nieopuszczonej przez nas Europy”, lecz dlatego, że jak każdy owoc przez lata zakazany, świat zachodni jawił się wielu ludziom w barwach o wiele bardziej różowych niż był taki rzeczywiście i zderzenie z rzeczywistością mogło u części obywateli zachwiać przekonaniem o wyższości demokracji nad totalizmem. Taką refleksję mogły obudzić wyniki wielu wyborów parlamentarnych w Europie Środkowej, włączając polskie wybory sprzed półtora roku.

Orientacja prozachodnia szybko wyraziła się w jasno sformułowanej woli integracji Polski z zachodnioeuropejskimi strukturami gospodarczymi, politycznymi i militarnymi: z ówczesną Europejską Wspólnotą Gospodarczą, a dzisiejszą Unią Europejską, z Sojuszem Północnoatlantyckim, z Unią Zachodnioeuropejską. Warto przypomnieć, że pierwszą strukturą zachodnią, której staliśmy się pełnoprawnymi członkami tuż po pierwszych w pełni wolnych wyborach w Polsce – była Rada Europy. W ciągu tych paru zaledwie lat z państwa aktywnie choć nie z własnej woli uczestniczącego w Układzie Warszawskim i z państwa śmiertelnie uwikłanego w gospodarcze zależności wynikające ze struktury i wewnętrznych procedur RWPG – staliśmy się jednak członkiem stowarzyszonym Unii Europejskiej, formalnym partnerem Unii Zachodnioeuropejskiej, najaktywniejszym udziałowcem Partnerstwa dla Pokoju, czyli swego rodzaju przedpokoju do *NATO*.



W działaniach na rzecz integracji europejskiej wykazywaliśmy upór i determinację, która pozostawała niekiedy w dysproporcji do reakcji, z którymi się spotykaliśmy. Skoro taka dysproporcja zachodziła, skoro nasze zabiegi nie spotykały się z dostatecznie entuzjastycznym przyjęciem ze strony Zachodu – trzeba sobie zadać pytanie: najpierw o własne błędy, a potem także i o to, czy istnieje alternatywa. Ułatwia nam trochę zadanie łatwość, a nawet oczywistość odpowiedzi na pytanie drugie – alternatywy nie ma. Nie tylko dlatego, że nie chcemy i mamy prawo nie chcieć wracać pod opiekuńcze skrzydła mocarstwa, które zajmowało się naszymi interesami narodowymi przez długie dziesięciolecia. Także dlatego, że tego mocarstwa już nie ma. Tęsknota za „starymi dobrymi czasami” ujawniana przy okazji niektórych polemik parlamentarnych nie da się na szczęście zrealizować przynajmniej tak długo, jak długo nie odrośnie totalitarny Związek Radziecki lub jego ideologiczny następca. Tak nam się w każdym razie mogło zdawać przynajmniej przez ostatnie lata.

Trudniej odpowiedzieć na pytanie o błędy przez nas popełnione. Byłoby dziwne, gdybyśmy ich nie popełnili, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę rozpaczliwy stan polskiej służby dyplomatycznej, swoiste zaskoczenie nas wszystkich tak szybkim i radykalnym obrotem spraw, jaki dokonał się w czasie ostatnich pięciu lat nie tylko w Polsce, ale na światowej arenie politycznej. Wielu było chętnych do wytknięcia tych błędów, nie zetknąłem się wszakże z analizą, która pozwoliłaby obiektywnie i nieodwołalnie ustalić, co zostało uczynione źle. To, co jest wskazywane daje się często bardzo łatwo odeprzeć, zazwyczaj grzeszy powierzchownością ocen lub wręcz brakiem obiektywizmu. Dobrego przykładu dostarczają nam całkiem niedawne polemiki parlamentarne – także i te, w których miałem sam okazję uczestniczyć, choćby odbywane przy okazji niedawnego i wciąż jeszcze niestety aktualnego sporu między premierem Pawlakiem i ministrem Olechowskim. Ci, którzy w kampanii wyborczej twierdzili „tak dalej być nie musi”, którzy psy wieszali na dotychczasowej mazowiecko-skubiszewskiej polityce wschodniej i którzy epatowali wyborcę zapowiedziami sięgnięcia po wielkie korzyści z odnowionej współpracy z Rosją – pokazują dziś raczej brak myśli wykraczającej poza banał, zawstydzającą krótkość kołdry personalnej oraz zdominowanie krótkoterminowymi interesami rozmaitych *lobby*, próbujących odgrzewać śledzia drugiej świeżości.

Miałem kiedyś okazję spytać profesora Skubiszewskiego, co było dla niego głównym punktem oparcia, na jakim kodeksie politycznym opierał swe działania określając priorytety polskiej polityki zagranicznej i podejmując kolejne decyzje. Odpowiedział mi wtedy, że w gruncie rzeczy nie musiał niczego wymyślać, że scenariusz jego działań, ich kierunek i uszeregowania wynikał z poszanowania i zastosowania w praktyce ogólnych norm prawa międzynarodowego, że w gruncie rzeczy cała jego polityka – zwłaszcza pierwszych 2-3 lat – była po prostu przywracaniem praktyce tych reguł prawa międzynarodowego, o których przez lata wykladał m.in. tu, w Poznaniu

na uniwersytecie i o których pisał swe liczne prace. Mówił o tym z jakąś satysfakcją naukowca, któremu dane było wprowadzić w czyn recepty dawno sprawdzone, a zapomniane lub zlekceważone – tak jakby po prostu przywrócić powszechne działanie prawa ciężenia lub prawa Archimedesesa. Ciało zanurzone w cieczy waży tyle ile ciecz wyparta przez to ciało – trzeba jedynie to ciało zanurzyć w cieczy i zważyć, ile wyparło. Jest faktem, że w ogóle cała jesienna Wiosna Ludów z 1989 r. i to co następowało później daje się opisać w kategoriach przywracania międzynarodowego ładu prawnego, skutecznego realizowania prawa do wolności, do samostanowienia, suwerenności, do bezpiecznych granic, do równoprawnych stosunków między państwami. Z tego punktu widzenia reorientacja ze Wschodu na Zachód była bardziej reorientacją z totalitaryzmu na demokrację. Wybór okcydentu podyktowany został zdżyczeniem Orientu. Już nie *ex Orient lux*: stamtąd przyszła noc państwa totalitarnego. Jutrzenka swobody świeciła zaś na Zachód – niezgodnie z prawami przyrody, lecz potwierdzając doświadczenie historii łacińskiej Europy.

Jest być może jeden błąd, który ciąży na polskiej polityce zagranicznej – paradoksalnie na niej właśnie, choć popełniony został i jest wciąż popełniany w obrębie polityki wewnętrznej. Błąd ten polega na łatwości wchodzenia w zakręty, których dałoby się uniknąć, lub przynajmniej je zminimalizować. Można znaleźć tysiące usprawiedliwień, ale nie da się zaprzeczyć, że Norwidowskie pytanie o polski charakter społeczny jest przecież pytaniem na czasie. Zdolność politycznego dzielenia się, niecierpliwość, dawanie posłuchu fantasmagoriom oraz słaba pamięć historyczna – wszystko to może stwarzać na zewnątrz wrażenie państwa i gospodarki niestabilnej, co gorsza nawet, nieodpowiedzialnej i nieprzewidywalnej. Nie da się oszacować strat, które ponieśliśmy – mimo wszystko – w polityce zagranicznej, wywołanych drugim miejscem Tymińskiego w wyborach prezydenckich sprzed trzech lat. Po półtorarocznej kadencji obecnej koalicji SLD-PSL trzeba też zacząć sporządzać rejestr strat, spowodowanych jej działaniami, które niekoniecznie dostały oficjalny stempel central partyjnych, ale przecież są tolerowane i najczęściej nawet nie komentowane przez osoby piastujące najwyższe stanowiska partyjne. Myślę np. o zachowaniach pewnej podkomisji parlamentarnej, która zapisze się w annałach polskiej hańby narodowej – i polskiej głupoty narodowej. Do dnia dzisiejszego chciałbym odnieść się nieco później.

Dla równowagi warto wspomnieć i o tym, że pomimo wszystkich krytyk powszechnie dostrzegane jest to, co wymierne i dające się ująć w liczby, co namacalne i gołym okiem widoczne. A więc o trwałości przemian w zakresie instytucji i procedur demokratycznych, o wielkim skoku gospodarczym zainicjowanym planem Balcerowicza i w trzy lata później potwierdzonym ponad 4% wzrostem gospodarczym, o roli sektora prywatnego, o przedsiębiorczości, o konkurencyjności polskich produktów na rynkach światowych, czego nie zdołała zniszczyć nawet niefrasobliwa polityka antyprywatyzacyjna i polityka łatwego ulegania rozmaitym naciskom grup społecznych, uzasadnionych



względami zgoła ludzkimi, ale mająca swe wymiennie negatywne konsekwencje gospodarcze.

Z drugiej strony pytania o własne błędy towarzyszyć może pytanie o błędy partnerów – a zwłaszcza o to, czy równie wyraźnie dostrzegają oni wyzwanie czasów. W pewnym momencie pytanie to może się okazać dramatyczne nie tylko dla nas, dla Polaków, dla krajów Europy Środkowej, dla krajów nadbałtyckich. Mamy w Polsce prawo być uwrażliwieni bardziej od naszych partnerów żyjących w poczuciu absolutnego, choć przecież złudnego, bezpieczeństwa daleko na zachodnich rubieżach Europy. Trzeba im jednak przypomnieć, że wojna rozpoczęta gdzieś w Sarajewie kończy się ostatecznie w Paryżu, a ta rozpoczęta na gdańskim Westerplatte w Londynie, Rzymie, a nawet na Pearl Harbor. Nędza i zniewolenie Kubańczyków łąduje w końcu na plażach Miami, a uran wykradzony z Nowosybirsk służy do produkcji bomby atomowej w którymś z krajów arabskich, aby ostatecznie wylądować jeszcze gdzie indziej. Jeszcze nie wiemy dzisiaj, gdzie może się skończyć wojna w Czeczenii – i może już lepiej nie gdybajmy.

Cóż dopiero, gdy spojrzawszy na mapę uświadomić sobie, ile geograficznie dzieli nasz kraj od Niemiec czy Hiszpanii, i analogicznie Norwegię lub Włochy od nas. W tej perspektywie, gdy konstatujemy, jak wewnętrzne problemy poszczególnych krajów zachodnioeuropejskich przysłaniają im wizję nowego ładu europejskiego – czujemy się w dwójnasób zagrożeni. Dzieje się tak wtedy, gdy nie udaje się nam nakłonić naszych partnerów zachodnich do jasnych deklaracji, do określenia przewidywanego kalendarza działań, do przyjęcia priorytetu długiego horyzontu czasowego w miejsce prymatu myślenia w kategoriach dnia dzisiejszego. Także wtedy, gdy nieprzewidywalność ze strony naszego wschodniego sąsiada połączona z łatwością, z jaką tamtejsi politycy odwołują się do wojska, każe nam nerwowo spoglądać na naszą wschodnią granicę.

W takiej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak możliwie skutecznie unikać popelniania nowych lub powtarzania tych samych starych błędów – i konsekwentnie napierać na partnerów zakładając, że biegu historii nie powstrzyma nawet brak wyobraźni wielu kręgów Zachodu, jeśli polityka Europy Środkowej będzie konsekwentnie suwerenna i prointegracyjna.

Powiedziałem wcześniej o dwóch dominantach polskiej polityki zagranicznej i dotąd skupiałem się na pierwszej, czyli na reorientacji ze Wschodu na Zachód, z totalitaryzmu ku demokracji, z księżycowej gospodarki ku wolnemu rynkowi. Chciałbym w mojej wypowiedzi nie pominąć polityki bilateralnej, zwłaszcza w kontekście polityki sąsiadów, szczególnie zaś w odniesieniu do Niemiec i Rosji.

Zacząć wypada od dwóch spraw elementarnych. Od tego, że do końca 1989 r. poza granicą bałtycką sąsiadowaliśmy z ZSRR, Czechosłowacją i NRD i od tego, że żadne z tych państw już nie istnieje. Druga sprawa to poddanie naszych stosunków bilateralnych z sąsiadami regułom gry wynikającym z członkostwa w Układzie Warszawskim i w RWPG, co skutecznie

redukowało bilateralizm do kontrolowanych przez najsilniejszego sąsiada stosunków wielostronnych wykluczających rzeczywiście podmiotowe wzajemne traktowanie. Za klasyczny, choć zarazem dramatyczny przykład takiej redukcji może posłużyć udział Polski w inwazji na Czechosłowację w 1968 r. i niedoszły do skutku, choć przewidywany udział wszystkich trzech sąsiadów w inwazji na Polskę na początku lat osiemdziesiątych.

Na Zachodzie granica ma charakter niejako podwójny. Jest ona bowiem zarówno granicą z Republiką Federalną Niemiec, jak i granicą z Unią Europejską. Na wschodzie mamy czterech sąsiadów: Rosję, Litwę, Białoruś i Ukrainę. Na południu Czechy i Słowację. Zostawiając na razie na boku granicę bałtycką wobec samych tylko bezpośrednich sąsiadów powinniśmy mieć co najmniej 7 punktów odniesienia. Każdy z tych krajów jest zasadniczo inny, z każdym łączą nas lub dzielą inne dzieje, inna teraźniejszość – inne szanse i inne zagrożenia. Globalizm wspólnej polityki wobec wszystkich pokój miłujących państw zwycięskiego socjalizmu realnego wyparty został przez konieczność i prawo swobodnego kształtowania bezpośrednich stosunków dwustronnych. Niewiele jest faz polskiej historii państwowej, w której przynajmniej traktatowo mielibyśmy tak uregulowane stosunki z sąsiadami, jak stało się to obecnie. Ratyfikowany jako ostatni traktat z Litwą, zamknął kardynalny etap naszej polityki zagranicznej, zmierzającej do poddania stosunków z sąsiadami regułom układów dwustronnych. Litera i duch wszystkich tych układów oddają dobrze nasze intencje, zamierzenia i plany. Wszystkie one bowiem są układami „o dobrym” sąsiedztwie, żaden nie został nikomu narzucony, wszystkie weszły także w trudne lub co najmniej drażliwe rejony wzajemnych stosunków.

Tak zwana sprawa niemiecka ma w polskiej 1000-letniej historii równie długi, jak i zarazem bolesny rozdział. Przez całe wieki skazani byliśmy na wzajemną wrogość, na wojny wielkie i mniejsze, przedzielone krótkimi okresami nie tyle pokoju, co raczej niepokoju. Zwłaszcza w Polsce zachodniej i północnej nie sposób uniknąć refleksji, ile lat trzeba było, aby tę wielowiekową wrogość przełamywać. Dopiero w zeszłym roku doszło do symbolicznego uścisku dłoni dwóch protagonistów, dwóch Westerplaczyków – Niemca i Polaka. Polityk wierzący w moralne przesłanie takiego zdarzenia – a chcę być politykiem wierzącym w moralny wymiar historii i polityki – ma prawo potraktować to spotkanie dwóch weteranów po 55 latach jako znak wielkiej przemiany, jaka właśnie zachodzi między naszymi dwoma narodami i dwoma naszymi państwami. Prezydent Weizsäcker, gdy opuszczał swój prezydencki fotel miał prawo powiedzieć o zakończonej kadencji, że była ona „kadencją pojednania”. To pojednanie nie jest oczywiście jednorazowym zdarzeniem, jest raczej procesem, który ma o tyle więcej szans, o ile za przekonaniem moralnymi idą także realne interesy. W dwustronnych stosunkach polsko-niemieckich funkcjonuje termin „polsko-niemiecka wspólnota interesów”. Traktujemy to pojęcie nie jako dyplomatyczną metaforę ani tym bardziej jako



pusty zwrot retoryczny, lecz jako wypełnioną rzeczywistością treścią tezę, że szansa zbliżenia obu krajów jest warunkiem *sine qua non* trwałego i zdrowego ładu europejskiego i jest także historyczną szansą na przewyżczenie historii w warunkach, które przez następne stulecia mogą się nie powtórzyć. To rozumowanie stało u podstaw polskich decyzji, gdy zaczynał się proces jednoczenia Niemiec, gdy ważyły się losy rozmów 4+2+1. Mamy przekonanie, że podobnie rozumują Niemcy, o czym świadczą wypowiedzi dwukrotnie Richarda von Weizsäckera w Gdańsku, a potem Romana Herzoga w Warszawie, ale także codzienna praktyka polityczna, która potwierdza, że Niemcy rzeczywiście są naszym stabilnym sojusznikiem w zabiegach o członkostwo w Unii Europejskiej i w NATO. Główną przesłanką, na której opieramy swe przekonanie o trwałości takiego właśnie stanowiska Niemiec – jest fakt zakorzenionej tam demokracji, oraz bardzo powszechnie spotykana w Niemczech teza, którą podzielamy – że aby zabezpieczyć się przed niemczeniem Europy, trzeba europeizować Niemcy. Rozumowanie to ma swoje konsekwencje w pozytywnej polityce Niemiec wobec zagadnienia rozszerzenia zachodnioeuropejskich struktur demokratycznych na Europę Środkową. Sądzę osobiście, że choć raz nauka nie poszła w las, i że w Niemczech ucieczka od pokusy dominacji jest trwała i autentyczna.

Czechy i Słowacja z własnej woli wzięły „aksamitny” rozwód. Pozostały jednak w tym samym geograficznym i politycznym miejscu Europy. Było i pozostaje ważnym odcinkiem naszej polityki zagranicznej takie układanie stosunków ze Słowacją i Czechami, aby wraz z Węgrami i Polską ten właśnie region Europy Środkowej zdołał skoordynować wysiłki i działania na rzecz przyspieszenia procesu integracji z Unią Europejską i zachodnimi strukturami militarnymi. Myślenie takie staramy się realizować w ramach Grupy Wyszehradzkiej, utworzonej w tym właśnie celu. Spotykamy się niekiedy ze strony Czechów z przekonaniem, że ich szansą jest wyjście przed szereg i marsz w pojedynkę. Nie zgadzamy się z takim podejściem, a utwierdzają nas w tym przekonaniu także jednoznaczne deklaracje polityków Unii Europejskiej, jak choćby majowa deklaracja Jacquesa Delors'a z Warszawy.

Mamy długą granicę z Bałtykiem. Starsi z nas pamiętają czasy, gdy polska plaża była wieczorem bronowana, co miało zapobiegać nie tylko ucieczkom za morze tych, którzy już tu wytrzymać nie mogli, ale nawet zanurzeniu stopy w morze i nostalgicznemu spojrzeniu na horyzont, za którym leżał wolny świat. Tu, w środku Europy, było jak niedawno na Kubie, zanim dyktator nie pozwolił na ucieczkę tratwami z tonącej wyspy. Gdy udało się wreszcie odsłonić ten zabronowany horyzont okazało się, że polska polityka zagraniczna to także polityka bałtycka: polityka wobec Szwecji, Finlandii, Norwegii, Islandii i Danii, wobec Estonii, Łotwy i Litwy i wreszcie znowu wobec Rosji i Niemiec, a może bardziej ściśle wobec regionu Kaliningradu i wobec landu Meklemburgii. Mam w tej dziedzinie poczucie groźnego niedostatku – proszę pozwolić mi poskarżyć się tu na profesora Skubiszewskiego, który nigdy chyba nie należał do wielkich żeglarzy,

częściej machał ręką z pewnym zniecierpliwieniem na pytania i monity o naszą obecność na północy. Z drugiej strony, historia narzuciła nam u schyłku XX w. priorytety w postaci Unii Europejskiej i *NATO*, w postaci krajów, z którymi graniczymy bezpośrednio i te priorytety wyparły myślenie o Bałtyku jako o *Mare Nostrum*, w którym i Polska ma swoją część. A przecież może się jeszcze okazać, że tak jak Morze Śródziemne wytworzyło fenomen Europy, tak Morze Bałtyckie może pomóc temu fenomenowi odzyskać drugą młodość.

Litwa ma w polskiej historii znaczenie szczególne. Dość przypomnieć, że tym, który na wiele stuleci nadał bodaj czy nie najsilniejszy impuls naszej wspólnej historii, był król – Litwin, który stworzył największą na owe czasy potęgę naszego regionu, który ugruntował dobrowolną unię dwóch narodów. Późniejsze losy dramatycznie nas rozdzieliły – i tak rozdzieleni pozostaliśmy do dzisiaj. Szanujemy to rozdzielenie z wszystkimi jego konsekwencjami, domagając się tylko tego, aby Polacy na Litwie mieszkający byli traktowani nie gorzej niż Litwini mieszkający w Polsce. Nie ma ani w naszej polityce, ani w nastrojach przeciętnego mieszkańca Polski nawet cienia jakiegokolwiek protekcyjnalizmu. Bywa natomiast poczucie stosunków cieplejszych, bardziej niejako rodzinnych, które chcielibyśmy kultywować i potwierdzać w codziennej praktyce politycznej i społecznej.

Ukraina i Białoruś stają przed wielkimi i rzeczywiście strategicznymi wyborami. Towarzyszy im nasze zainteresowanie jako sąsiadom, z którymi graniczymy bezpośrednio, ale także jako potencjalnym partnerom odradzającej się Rosji. Wielu z nas jest przekonanych, że stosunek Rosji do tych dwóch krajów jest swoistym testem na charakter przemian w samej Rosji, testem, na ile Rosja akceptuje zasadę samostanowienia narodów, a na ile obawiać się należy prób odtworzenia imperium w dawnej postaci i na dawnych zasadach. Mamy świadomość, że w tej sytuacji nasza oferta polityczna, a zarazem i gospodarcza powinna być możliwie najbardziej atrakcyjna dla Ukraińców i Białorusinów. Na miarę naszych własnych możliwości promujemy wzajemne kontakty i współpracę, podobnie jak w przypadku Rosji inwestując naszą nadzieję w rozwój demokracji i poprawę statusu gospodarczego.

Upadek imperium sowieckiego nie zamyka nam oczu na potencjał, jakim nawet w warunkach wewnętrznego chaosu dysponuje dzisiejsza Federacja Rosyjska. Jest ważnym elementem naszej polityki wobec Rosji uznanie tego potencjału, ale jest nim także konsekwentna postawa nadziei na przezwyciężenie wielowiekowego antagonizmu (żeby nie powiedzieć wrogości) i nadziei na kontynuowanie procesu demokratyzacji. Mamy szczerą wolę inwestowania w tę nadzieję, podejmując wszelkie możliwe inicjatywy na rzecz współpracy i rozwijania kontaktów. W ramach tej samej nadziei wysyłamy do Moskwy misje polityczne i gospodarcze, ale także odkopujemy po latach groby w Katyniu i domagamy się, aby rosyjski generał nie wypowiadał się na temat naszych aspiracji do *NATO*. Taka jest natura równoprawnych stosunków



bilateralnych między dwoma suwerennymi państwami. Nie chcemy Rosji odpychać od Europy i tak, jak nie chcemy, aby zachodnia granica Europy przebiegała dziś wzdłuż linii Odry, tak samo nie chcielibyśmy, aby miała ona zawsze przebiegać na linii Bugu – przynajmniej, aby nie była ona granicą konfrontacji lub wręcz granicą frontową. W tej sprawie reguły gry są dla wszystkich jednakowe: tak jak od Polski oczekuje się spełnienia pewnych warunków, tak samo wolno oczekiwać ich od innych.

W rosyjskim żargonie politycznym ważną rolę odgrywa rzeczownik od-słowny *pierestrielka*. Dobiegały do nas żarty na ten temat w dobie *perestrojki*, w ślad za którą miała właśnie przyjść *pierestrielka*. I niestety przyszła. Najpierw rozstrzelano parlament, na naszych oczach rozstrzeliwuje się Czechenię. Nie ma tu większego znaczenia nasz stosunek do demokracji parlamentarnej roku 1993 i jej owoców, ani nasze zdanie na temat mafii czecheńskiej. Fakty krzyczą i nie można od nich uciekać odwołując się do argumentu, że trzeba zrozumieć inność Rosji, że „znaj proporcję Mocium Panie”, że zachodnia polityka wobec Polski jest funkcją polityki wobec Rosji. Parafrazując cytowane wcześniej hasło wyborcze – także i w tej dziedzinie „tak dalek być nie musi”.

Jestem przekonany, że źródeł sporu na temat polskiej polityki zagranicznej jest wiele. Wśród tych źródeł mają swe miejsce stereotypy – bardziej i mniej racjonalne. Jest zamęt doby wielkiej rewolucji cywilizacyjnej i politycznej. Jest nieprzewidywalność rozwoju wydarzeń i konieczność gry na wielu fortepianach równocześnie. Jest jednak także i coś, co należałoby określić jako syndrom zniewolenia. Pokolenie polityków, dyplomatów, teoretyków stosunków polsko-rosyjskich wydaje się być zarazem bakcylem niewiary w polską suwerenność, w równoprawną z natury materię stosunków dwustronnych, bakcylem niezrozumienia natury zwrotu, jakiego dokonała Polska. Wybór między Niemcami i Rosją był przez wieki kwadraturą koła i prowadził do wpadania z deszczu pod rynnę. Zwrot, który się w Polsce dokonał – nie był prostą reorientacją ze wschodu na zachód, od Rosji ku Niemcom. Był ucieczką (na szczęście udaną) z dobrze strzeżonego gułagu totalizmu w wolną strefę demokracji. Reszta była konsekwencją. Rozważaniem nie na temat byłoby zastanawianie się, czy ta demokracja, w objęcia której wpadliśmy, jest na pewno dobrym wynalazkiem. Nie będę Państwa rozśmieszał cytowaniem Churchilla, który od tych cytatów już się chyba w grobie przewraca. Także przy innej okazji trzeba by analizować, na ile możemy wierzyć czyimś deklaracjom, na ile w demokracji zachodniej przeważa twarde poczucie własnego interesu.

Do tematu natomiast należy, jakie są konsekwencje życia w łaździe demokratycznym i czy postulat ładu demokratycznego nadaje się do idealizowania jako jedyny akceptowalny model organizacji życia publicznego. Nie chciałbym przedłużać mojej wypowiedzi ponad miarę i zagłębiać się w dowód o wyższości demokracji – jaka by nie była – nad totalizmem. Traktuję to

twierdzenie jako udowodnione. A jeśli tak – to na serio musimy rozważyć naturę naszych związków z Rosją: partnerem bardzo pożądanym, lecz przecież wciąż chorym. Sąsiadem obiecującym, lecz pogrążonym wciąż w niepewności co do losów instytucji demokratycznych. Krajem potężnym, ale nie potrafiącym skutecznie nawet *pierestrieść* Czeczeni. Imperium podlegającym demokratycznej transformacji, ale wciąż broniącym się przed ostateczną dekolonizacją. Partnerem gospodarczym bogatym, ale chwilowo niewypłacalnym. Mówiącym, że „*kurica ptica*, Polska zagranica, ale *NATO niet!*” Taka jest wciąż Rosja i taka rzeczywistość wyznacza nam drogę dojścia do właściwych i poświadczonych stosunków polsko-rosyjskich. W tym dopiero kontekście trzeba patrzeć na nasze bieżące wydarzenia wewnętrzne w zakresie polskiej polityki zagranicznej. Ten kontekst jest potrzebny, aby właściwie i ocenić i skomentować zarzuty posłów z SLD i PSL – najczęściej dawnych funkcjonariuszy PRL na odcinku zagranicznym – wobec polityki kadrowej ministra Skubiszewskiego, wobec braku dostatecznego otwarcia na kierunek wschodni, zarzuty nowego wasalstwa wobec Zachodu, zarzuty odpowiedzialności ministra Olechowskiego za to, że nie przyjechał do Polski premier Czernomyrdin, zarzuty o zamiar wysłania polskiej misji do Górnego Karabachu w ramach misji KBWE i dziesiątki innych, które wstyd cytować wobec poważnego audytorium.

Syndrom zniewolenia zbiega się z przywiązaniem do dawnych szlaków, utartych pojęć, nagle zerwanych interesów, nieumiejętności odnalezienia się w nowym świecie nowych zasad. Syndrom zniewolenia połączony z butą sprawia, że rząd nie jest zakłopotany kilkumiesięcznym już wakatem na stanowisku ministra obrony, a premier, wezwany na przesłuchanie przez komisję spraw zagranicznych parlamentu – uznaje za możliwe i dopuszczalne wysłanie tam swego adwersarza. Komisja znosi to pokornie i pozwala premierowi na jawną kpinę.

Zanim ruszył szekspirowski las, Hamlet wypowiada swą słynną kwestię o państwie duńskim. Nie chciałbym hamletyzować, ale chyba widzę las!